

Magdalena Bajer: Pomyłka kompromituje. O pomieszaniu znaczeń

Doświadczenie niekrótkiej pracy w REM uczyniło - początkową moją intuicję o zatarciu w świadomości ludzi mediów (i chyba nie tylko) wyrazistości norm moralnych - pewnością. Proces wywołany oświadczeniem o dziennikarstwie śledczym i jego adeptach jest na to wymownym argumentem



Doświadczenie niekrótkiej pracy w REM uczyniło - początkową moją intuicję o zatarciu w świadomości ludzi mediów (i chyba nie tylko) wyrazistości norm moralnych - pewnością. Proces wywołany oświadczeniem o dziennikarstwie śledczym i jego adeptach jest na to wymownym argumentem

Kilkanaście lat pracy w Radzie Etyki Mediów zakończyło się dla mnie oraz moich kolegów Macieja Iłowieckiego i Heleny Kowalik Ciemińskiej wyrokiem skazującym Sądu Apelacyjnego. Wniosek o kasację wyroku Sąd Najwyższy odrzucił.

Ponieważ pojawiły się wiadomości o przekształceniu Konferencji Mediów Polskich, która od początku powołuje REM, w Stowarzyszenie KMP, tj. jej umocowaniu prawnym, myślę, że należy przypomnieć doświadczenia tego ciała społecznego (EM), złożonego – w kolejnych kadencjach – z osób uważanych przez Konferencję za obdarzone autorytetem środowiska mediów.

Radę powołano w roku 1994 na pierwszą dwuletnią kadencję. Status był od początku jasny: Jest ona ciałem opiniodawczym, nie sądem. Pracuje społecznie, co zapewnia niezależność. Wypowiada się, wedle ustalonych w jej gronie zasad, o przekazach medialnych (tekstach, audycjach, programach), na które do Rady ktoś się poskarżył albo, które ona sama uznała za nieetyczne. Dla pomocy sumieniom członków REM Konferencja uchwaliła wcześniej Kartę Etyczną Mediów, co pokazały telewizje i odnotowały gazety. Karta jest krótkim (siedem zasad) zestawem „przepisów wykonawczych” do dekalogu albo, jak kto woli wersję świecką, do uniwersalnych, powszechnie uznawanych, norm.

I tu konstatacja, jak sędzę istotna, gdyż starałam się, kierując pracami Rady (przy konsensusie jej członków), odwoływać do tych uniwersalnych zasad, w przekonaniu, że nie ma etyki zawodowej dziennikarzy i przy sceptycyzmie wobec wszelkich deontologii, z wyjątkiem może deontologii lekarskiej. Przekonanie to ugruntowało

moje osobiste doświadczenie wieloletniej pracy dziennikarskiej, podczas której sytuacje, gdy chcąc postąpić uczciwie nie wiedziałam, co zrobić, były niesłychanie rzadkie. W pracy REM znajdowało to pełne potwierdzenie. Znajomość podstawowych norm moralnych wystarczała nam do opiniowania przekazów medialnych i z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że nasze opinie były trafne, co nie znaczy, że zawsze najlepiej sformułowane.

Podstawy tej pracy ukształtowały się bardzo wcześnie. Już w czasie pierwszej kadencji, bez dłuższych dyskusji przyjęliśmy zasadę reagowania na skargi dotyczące incydentalnych naruszeń norm etycznych w korespondencji z zainteresowanymi, natomiast o zjawiskach szerszego zasięgu wypowiedziano w publicznych oświadczeniach. Prawda, że nie ma ostrej granicy między pojedynczym „wybrykiem” a różnymi wariantami tego samego przekroczenia zasad, ale sądzę że udawało nam się trafnie rozróżniać, co trzeba wyraźnie wskazać jako niepokojące zjawisko i zagrożenie, a kiedy poprzestać na upomnieniu skierowanym do autora albo redakcji.

dwie strony

Nie będąc trybunałem Rada Etyki Mediów nie prowadziła śledztw. Nie mieliśmy do tego narzędzi, kompetencji ani zamiaru. Postępowaliśmy według zasady: otrzymaną skargę na przekaz medialny konfrontowaliśmy z tym przekazem, analizując – wedle naszych umiejętności zawodowych i kwalifikacji moralnych – jego treść, stosując kryteria wiarygodności, tj. poziomu udokumentowania

zarzutów oraz równowagi między tymi zarzutami i argumentacją, a także formę, tj. rzeczowe formułowanie argumentów nie zaś używanie (nadużywanie) epitetów, styl i język przekazu.

Zanim przejdę do głębokiego nieporozumienia podczas procesu wytoczonego trojgu członkom REM przez dwoje dziennikarzy śledczych, które skutkuje niesprawiedliwym wyrokiem skazującym, podkreślam istotę rozpoznania, na podstawie którego wydawaliśmy opinie o przekazach medialnych, ich autorach i mediach w ogóle. Z jednej strony zawsze była czyjaś skarga lub sygnał o nieprawości popełnionej w jakimś medium, z drugiej ów przekaz, gdzie nieprawości się (wedle skarżącego) dopuszczono. Można więc powiedzieć, że była to konfrontacja otrzymanych listów, (taką postać miały skargi do REM) z tekstami w gazetach, nagraniami audycji radiowych i programów telewizyjnych. Nie stawali przed obliczem Rady ludzie jak to jest przed sądem, choć oczywiście każda ze „stron” była dziełem żywych autorów. Działo się to także inaczej niż w pracy reporterów, gdzie podstawowym nakazem, w przypadku konfliktu, nawet tylko antagonizmu, jest wysłuchanie obu jego stron, choć można sobie wyobrazić sytuację gdy jedną będzie żywy bohater, a drugą np. akta sądowe albo czyjś pamiętnik.

Z takim trybem pracy wiąże się założenie – przyjęte od początku – iż Rada nie ocenia intencji dziennikarzy ani nikogo spośród osób mających wpływ na to, co z mediów dociera do społeczeństwa (redaktorów, wydawców, nadawców). Niezależnie od intuicji poszczególnych członków, z jej orzeczeń, czy to adresowanych do autorów bądź redakcji, czy to ogłaszanych publicznie, nie zakładaliśmy w naszych ocenach złych intencji.

Doświadczenie pokazywało, że naruszenia zasad zapisanych w Karcie Etycznej Mediów są często powodowane niedostatecznym, czasem fałszywym, rozpoznaniem sytuacji przez dziennikarza, niedostatkiem staranności w zbieraniu, potem opracowywaniu materiałów do przedstawianej sprawy, a także (to osobny bardzo ważny wątek) błędną interpretacją owych zasad, czyli, mówiąc najdosłowniej, niedostateczną znajomością dekalogu.

Zupełnie tak samo było w przypadku oświadczenia z 26 sierpnia 2009 roku, które rozpoczęło się zdaniem: „Doszło do kolejnej kompromitacji dziennikarstwa śledczego w Polsce.”, a dotyczyło zachowania późniejszych powodów w naszym procesie, Anny Marszałek i Bertolda Kittela. W r. 2001 opublikowali oni na łamach „Rzeczpospolitej” szereg artykułów oskarżających ówczesnego wiceministra obrony Romualda Szeremietiewa oraz jego asystenta, Andrzeja Farmusa, o korupcję. Pierwszy w następstwie tych publikacji utracił stanowisko, a po kilkuletnim procesie sądowym został oczyszczony z korupcyjnych zarzutów (były też inne mniejszej wagi). Dziennikarze swego negatywnego bohatera nie przeprosili, a członkom Rady Etyki Mediów wytoczyli proces cywilny o naruszenie dóbr osobistych i ten proces wygrali.

rewers stereotypu

Kiedy na sali sądowej padło pod naszym adresem „nie wysłuchali drugiej strony, a wydali ocenę”, obecnych, ze składem sędziowskim, jak myślę, przeniknęło naturalne zgorszenie i oburzenie, którego

wyjaśnienia pozwanych oraz ich świadków, dotyczące tego jak pracowała REM (patrz wyżej) nie mogły zniwelować.

Tu prawem dygresji: Oskarżający nas dziennikarze śledczy – z polskiej czołówki tego gatunku – używali na określenie naszego oświadczenia słowa: wyrok, żaląc się na doznaną krzywdę i przewidując długotrwałe jej skutki, podczas gdy reprezentująca ich pani adwokat konsekwentnie dezawuowała Radę Etyki Mediów, przedstawiając ją jako samozwańcze ciało uzurpujące sobie nienależne prawa. Wyrazem takiego nastawienia było zresztą pozwanie nie całej REM, chociaż wszyscy jej członkowie podpisali inkryminowane oświadczenie, ale wybranych trzech osób, z których dwie już jej członkami nie były.

Jeszcze dygresja, jak sądzę ważna w omawianym temacie: Doświadczenie niekrótkiej pracy w REM uczyniło początkową moją intuicję o zatarciu w świadomości ludzi mediów (i chyba nie tylko) wyrazistości norm moralnych, pewnością. Proces wywołany oświadczeniem o dziennikarstwie śledczym i jego adeptach jest na to wymownym argumentem.

Pozytywny stereotyp o nakazie wysłuchania obu stron konfliktu czy różnicy zdań, jeśli się do konfliktu albo różnicy zdań chcemy odpowiedzialnie odnieść, działa w sytuacji takiej nieostrości oderwany od bardziej elementarnych norm, jak choćby zakaz dawania fałszywego świadectwa, przed czym wysłuchanie stron nie zawsze może uchronić. Gdyby Rada zaprosiła na rozmowę Annę Marszałek i Bertolda Kittela (*nota bene* z Szeremietiewem, czyli „pierwszą” stroną, także nie rozmawialiśmy, poprzestając na wiadomości o uniewinniającym go wyroku) usłyszałyby od nich najpewniej to samo, co napisali w swoich

tekstach, być może z większą liczbą szczegółów. Wątpię, by okazali skruchę z powodu wyrządzonej krzywdy, skoro nie przeprosili za nią. To ostatnie jest poważnym z naszej strony zarzutem, o którym dalej.

Bezdyskusyjne (i bezrefleksyjne) uznanie obowiązku słuchania stron za dogmat etyki dziennikarzy, ma swoją drugą stronę. W konflikcie nigdy obie strony nie dysponują równą wagą argumentami. Ani dobro ani zło nie są rozłożone proporcjonalnie po obu stronach. Dlatego wysłuchaniu ich musi towarzyszyć jasność kryteriów dobra i zła, umiejętność rozróżniania między wartościami, bez czego najuważniejsze wysłuchanie, nawet wielu stron, nie zapewni opowiedzenia się za dobrem.

Powyższe stwierdzenia nie służą mi za wytłumaczenie dlaczego REM nie zapytała o zdanie dziennikarzy śledczych, ale oceniła ich publikacje. To było i jest dla mnie oczywiste, jako istota pracy Rady, uzasadniona charakterem tej pracy (wydawanie opinii nie sądenie dziennikarzy), jej warunkami (brak narzędzi śledczych), wreszcie założeniami przyjętymi na początku (ocenie pod względem etycznym przekazów medialnych, nie badanie intencji, kompetencji, warsztatu autorów).

kompromitacja

Szczególne oburzenie Anny Marszałek i Bertolda Kittela, podtrzymane przez sąd, wywołało przytoczone wyżej pierwsze zdanie oświadczenia, za które wytoczono nam proces. To o kompromitacji (kolejnej)

dziennikarstwa śledczego. Uraziło zapewne poczucie wysokiego poziomu profesjonalizmu u obojga autorów i dotknęło poczucia solidarności w obrębie uprawianego gatunku.

W świetle uniewinniającego wyroku (po kilkuletnim procesie), treść artykułów oskarżających Romualda Szeremietiewa okazała się nieprawdziwa. Normalnie czujący czytelnicy mogli się ucieszyć z tego, że wysokiej rangi urzędnik państwowy jest człowiekiem uczciwym, że w tym konkretnym przypadku podejrzenia o korupcję były ślepią uliczką. Zdawałoby się, że podobną ulgę powinni odczuć także ci którzy niesłuszne podejrzenia upublicznili, ale to pewnie za duże wymaganie wobec ludzi dotkniętych pychą zawodową z racji przynależenia do czołówki cenionego gatunku dziennikarskiego.

Mogę ową pychę podejrzewać skoro tak nieznośne okazało się słowo: kompromitacja. Co kompromituje dziennikarza, jak zresztą każdego człowieka? Ujawnione: kłamstwo, oszustwo, zdrada i wszystkie inne naruszenia przykazań. Także tych zapisanych bardziej szczegółowo w Karcie Etycznej Mediów, odnoszących się przede wszystkim do dziennikarzy.

Czy kompromituje pomyłka, błąd popełniony nieświadomie wskutek niedostatku wiedzy albo z powodu zastawionej przez kogoś pułapki? Moim zdaniem tak, choć mogą tu być okoliczności łagodzące, jednak nie niwelujące kompromitacji całkowicie.

W opinii REM dziennikarze śledczy piszący o Szeremietiewie popełnili błąd, jak się okazało, rażący, który ich skompromitował (po kilku latach, gdy Szeremietiew wygrał proces). Ściągnęli przez to odium na środowisko dziennikarzy śledczych. Dla porządku dodam, że zdarzyło się to nie po raz pierwszy, stąd przymiotnik: kolejny w oświadczeniu Rady.

W moim przekonaniu, któremu dawałam wyraz na spotkaniach z redakcjami, jakie były dawniej obyczajem REM, doskonalenie warsztatu jest obowiązkiem, także moralnym, ponieważ niedostatki w tym zakresie skutkują wprowadzaniem w błąd opinii publicznej, czyli sprzeniewierzeniem się powołaniu, misji albo najprościej rzecz ujmując, codziennie pełnionym zadaniom wykonujących ten zawód. Nadużywane ostatnio pojęcie profesjonalizmu zawiera tę komponentę moralną, świadomość potrzeby odwoływania się do podstawowych norm, bez czego profesjonalizm byłby zestawem praktycznych umiejętności, wśród nich również zręcznego operowania formułkami z wokabularza prymitywnej żurnalistyki.

W prawie prasowym jest napisane, że jeśli autorzy artykułu albo przekazu elektronicznego dopełnili, w dostępnych sobie granicach, staranności w zbieraniu materiałów i następnie rzetelnie je opracowali, nie ponoszą odpowiedzialności karnej. To sprawiedliwe, bo proces powstawania przekazu medialnego może być skomplikowany i utrudniony różnymi okolicznościami, a w przypadku dziennikarstwa śledczego narażony na pułapki zastawane przez tych, którym ono zagraża. To jednakże nie zmienia faktu, że uwikłanie w takie okoliczności albo nie uniknięcie pułapki, owocujące błędem czy tylko

pomyłką, nieuchronnie kompromituje. Do Rady Etyki Mediów, gdy rozpatrywała publikacje Anny Marszałek i Bertolda Kittela, należało użyć właściwego określenia.

zadość czynienie

Kompromitujące pomyłki dziennikarzy śledczych bywają krzywdzące jak to się stało w omawianym przypadku. Jedynym zadośćuczynieniem jest wtedy przeproszenie skrzywdzonego przez winnych, świadomych swojej kompromitacji. Oskarżyciele członków REM tego nie zrobili, usiłowali natomiast uzasadnić teksty o, rzekomych jak się okazało, winach Romualda Szeremietiewa starannym postępowaniem dziennikarsko-śledczym, które ich zdaniem nie mogło, przynieść fałszywych rezultatów, a stwierdzenie, iż tak właśnie się stało uznali za naruszenie dóbr osobistych.

Odmowa czy tylko zaniechanie przeprosin jest tu czymś więcej niż uchybieniem dobremu wychowaniu. Mówi o braku wyrzutów sumienia, co zawsze jest niepokojące, zwłaszcza u osób zaufania publicznego (za takich uważamy dziennikarzy). Jeśli spowodowane jest pychą, nieumiejętnością przyznania się do winy, nawet do błędu, można mieć nadzieję, że przyjdzie trzeźwa ocena, choćby na przeprosiny było za późno. Jeśli jest efektem zdeprawowania tej miary uczynków oraz intencji, jaką jest sumienie – gorzej.

Nie negując dobrej woli kolejnych instancji wymiaru sprawiedliwości w naszym procesie, starannie czytając uzasadnienia zapadłych wyroków, umacnam się w przekonaniu, że ich źródłem jest podstawowe niezrozumienie zasad działania powołanego przez, szeroko reprezentowanych, przedstawicieli środowisk medialnych, ciała społecznego, jakim jest Rada Etyki Mediów. Nieporozumienie to próbowałam w niniejszym tekście wyjaśnić, nie tylko z uwagi na nasze dobre imię, ale choćby po to, żeby Rada, onieśmielona w krytyce przegrany procesem, powróciła do swojej roli zbiorowego sumienia dziennikarzy, ciągle bardzo potrzebnego.

Wytoczony nam trojgu proces jest wyrazem swego rodzaju buntu środowiska, któremu przeszkadzają wyrzuty sumienia i uznało, że należy je uciszyć. Zadziwia mnie jednak, że to nie tych, którzy fałszywie oskarżyli, nie uznali swej winy, nie czują się skompromitowani przez własne postępowanie, nie zadość uczynili pokrzywdzonemu, ale tych, którzy nazwali rzecz po imieniu i ocenili jednoznacznie negatywnie, spotyka kara.

Wniosek końcowy powyższych uwag może być tylko taki: gdybym dzisiaj miała się odnieść do postępowania dziennikarzy śledczych w sprawie Romualda Szeremietiewa, moje oświadczenie byłoby identyczne jak to z 26 sierpnia 2009 roku.